NIWA

TYGODNIK POLSKI

Rok II. | Kurytyba, dnia 13. Lutego 1913 r. | Nr. 7.

Za wydawców: *Dr. Szymon Kossobudzki.* Redaktor: *Wojciech Szukiewicz.*

RODACY CZYTAJCIE I NAŚLADUJCIE!

Wielmożny Pan Redaktor „Niwy“ w Kurytybie.

W obec odezwy „Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych“ nie mogąc być w inny sposób pożytecznym Ojczyźnie, stawiam do dyspozycji kwotę Rs. 500$000 (pięćset milrejsów) prosząc o zawiadomienie, dokąd ma być wysłana.

Pozostając z szacunkiem i poważaniem, kreślę się

szczery

S. Schmidt.

Oto czyn obywatelski wśród nas tutaj w Paranie osiadłych dość niezwykły a świadczący o tym, że kto jest dobrym polakiem i Ojczyznę szczerze kocha, ten nigdy o niej nie zapomina i w chwilach potrzeby spieszy z taką pomocą, na jaką go stać. Chcąc sobie wywalczyć niepodległość polityczną i narodową potrzebujemy zarówno ludzi jak i środków pieniężnych. Zarówno ludzie bez pieniędzy, jak pieniądze bez ludzi na nic się nie zdadzą. Nie wiemy ilu wśród nas znajdzie się takich, którzy na pierwsze ze starego kraju wezwanie stawią się jak jeden mąż, aby z bronią w ręku pomnożyć bratnie szeregi o wolność Polski walczące. Ale to wiemy na pewne, że jeżeli zechcemy szczerze i gorąco zdołamy zgromadzić sporo grosza i powiększyć ten fundusz, którego walka o niepodległość będzie wymagała. Gdy powstanie na gruncie parańskim polska organizacja narodowa, mająca na celu nieść pomoc Ojczyźnie, ufajmy, że obywatelski czyn p. Schmidta znajdzie licznych naśladowców i że każdy stosownie do zamożności pospieszy z ofiarą pieniężną przyczyniając się ze swej strony do wyswobodzenia Ojczyzny z ciężkich kajdan niewoli.

❀ ❀ ❀

Komitet Obrony Narodowej.

Pomieszczona w „Niwie“ odezwa „Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych“ jakoteż dodane do niej artykuły odniosły pożądany skutek, gdyż oto ubiegłej niedzieli kilka towarzystw polskich w Kurytybie odbyło posiedzenia w celu wybrania delegatów do mającego powstać w Kurytybie „Komitetu Obrony Narodowej w Brazylji“.

Powiedzmy tutaj, że przez usta tych trzech Towarzystw polskich przemówił lud polski, ponieważ owe trzy organizacje są prawdziwie ludowe, demokratyczne i najliczniejsze, najpoważniejsze, mające więc prawo przemawiać w imieniu ludności polskiej Kurytyby. Ponieważ spodziewać się należy, że i reszta Towarzystw polskich uczyni to samo, to znaczy delegatów swych wybierze, przeto przyszły Komitet Obrony Narodowej, który uzupełni się jeszcze przedstawicielami prasy miejscowej i wybitniejszemi jednostkami, które do żadnych Towarzystw jeszcze nie należą, będzie rzeczywiście wyobrazicielem opinji polskiej w Kurytybie a jako taki zyska sobie też należny posłuch na kolonjach i przeprowadzi organizację oddziałów prowincjonalnych.

Skoro wszystkie Towarzystwa delegatów swych wybiorą odbędzie się spólne zebranie tych przedstawicieli ludu polskiego w Kurytybie, którzy odpowiednie uchwały w tej tak ważnej dla nas sprawie powezmą.

Dotychczas wybrały swych delegatów:

„KÓŁKO MŁODZIEŻY“ — pp. ks. Peters, prezes Mizerkowski, sekretarz Sobański.

„TADEUSZ KOŚCIUSZKO“ — pp. Wice-prezes Józef Barcik, sekretarz Kinder, gospodarz Ćwikliński.

„ŁĄCZNOŚĆ I ZGODA“ — pp. prezes Jan Faucz, sekretarz Jan Brzeziński, Piotr Krzyżanowski.

Opis gospodarstwa p. Sartiego w majątku „Zulmisa“.

Jest to jedno z największych przedsiębiorstw rolniczych w Paranie a największe na płaskowyżu rolniczej Parany, z tej racji więc godne uwagi i poznania.

W celu poznania go wybraliśmy się 13-go stycznia bieżącego roku w trzech, to jest pan R. Krzesimowski, wybitny rolnik, hodowca wina i właściciel winnicy z Dorizonu, p. Andrzej Nagórski, agronom kolonji Vera Guarany, i niżej podpisany. Po kilkogodzinnej podróży przez prawie bezludne lasy nad rzekami Palmital i Srebrną dojechaliśmy do majątku Zulmisa.

Przedsiębiorstwo rolnicze w tym majątku, prowadzone przez doskonałego rolnika p. Sartiego, po licznych próbach z rozmaitemi roślinami, dziś opiera się na uprawie mandjoki (aipi), winnej latorośli i pigw [marmeli].

Pod uprawę tych roślin znajduje się przeszło 100 hektarów ziemi a mianowicie: mandjoka (ajpi) 80 hektarów [160 morgów polskich], wino 15 hekt. [30 morgów polskich], pigwa czyli marmela 5 hektarów [10 morgów polskich].

Reszta gruntu jest pod uprawą roli, pod kukurydzą, pastewnikami, herwalami, lasami, wreszcie błotami.

Majątek Zulmisa, położony nad rzeką Srebrną [Rio do Prata], dotyka spławnej rzeki Iguassu i leży o 14 kilometrów od miasta Porto Uniao.

Klimat w majątku Zulmisa, jest bardzo podobny do klimatu płaskowyżu Parany: te same przymrozki w zimie a mgły w lecie co i na sąsiednich kolonjach.

Warunki robotnicze są dość pomyślne dla majątku. Bliskość miasta Porto Uniao, kolonji Cruz Machado, Vera Guarany, Rio Claro, Jangady, daje trochę robotnika pracującego w majątku. W obecnym czasie pracują tam przeważnie ludzie z Cruz Machado. Płaca robotnika miesięcznego wynosi: dorosły robotnik dostaje 40 milów i życie, dziewczyna 30 milów i życie.

W majątku Zulmisa nie widać usiłowań zastąpienia przy uprawach rąk roboczych maszynami. Dało by się to w pewnej mierze zastosować sadząc mandjokę w wyorane bruzdy, w regularnych odstępach, stosując następnie płytko działające pielniczki do wypielania lub choćby pielniczki w formie grabi stalowych, doskonale wygrabiających chwasty i trawy.

Przy drogim robotniku dałoby się wprowadzić nawet motor gazolinowy do przyspieszania orki i pielenia. Wreszcie między bardzo licznemi odmianami aipi dałyby się wybrać gatunki o korzeniach krótkich i grubych, odpowiedniejsze do plantacji obrabianej maszynami.

Z budynków gospodarskich po za składami i domami mieszkalnemi, są dwa bardzo ciekawe. Jeden jest mandjokarnią, drugi winiarnią.

Mandjokarnia jest to wielki budynek, mający turbinę 6-konną do poruszania maszyn i 4-konną parową maszynę do poruszania małego młyna parowego.

Mandjokarnia może wydać dziennie 25 worków suchej mąki mandjokowej; mogłaby zapewne wydać więcej, gdyby miała lepiej działające prasy.

Z maszyn po za turbiną stoją tam: spora płuczka do mycia i zdzierania naskórka z mandjoki, następnie większych rozmiarów szarpacz, zastępujący pospolite tarki, następnie 4 prasy, na których wyciskają zbyteczną wodę z mąki mandjokowej; z pod pras idzie produkt na rozdrabniacz mechaniczny, który wyciśniętą mandjokę zamienia w sypką, wilgotną mąkę, następnie suszarnie z mieszadłami, wreszcie przesiewacz, na którym otrzymują gotowy towar. Kawałki lub grudki z przesiewacza idą na młyn, który ja miele na mąkę.

Na młynie mielą żyto i kukurydzę na mąkę i paszę dla bydla

Winiarnia odległa jest o 6 kilometrów od siedziby p. Sarti'ego w porcie Zulmisa. Urządzona jest tak: Winogrona idą na gniotownik, następnie na prasy lub do murowanych zbiorowników, gdzie wino fermentuje a wszystko to znajduje się w odpowiednim budynku. W piwnicach pod budynkiem mieszczą się cementowane kufy, w których przechowują wino i w których ono dojrzewa, po za kufami zaś mieszczą się beczki pełne wina rozmaitego Ze zbiorowników, w których wino fermentuje można je rurami przelać do kuf i beczek.

Przy oglądaniu urządzeń uprzejmy gospodarz raczył nas winem własnego wyrobu, zwłaszcza smakowały nam wyborne białe wina z winogron Cuningham i Herbemontu.

Po za temi urządzeniami jest w majątku aparat destylacyjny, służący do wyrobu wódki z wina i aparat do robienia marmelad z owoców. [Dok. nastąpi.]

Jul. Bagniewski.

W SPRAWIE WYCHODŹTWA DO PARANY.

W Nr. 4 i 5 „Niwy“ pomieściliśmy artykuł p. Bagniewskiego z Cruz Machado p. t. „W sprawie wychodźtwa do Parany“. Autor napisał go nie po to, ażeby wypowiedzieć swoje zdanie w tej tak ważnej i cały naród polski obchodzącej sprawie, ale głównie po to, ażeby wywołać wymianę zdań, to znaczy, aby pobudzić innych do napisania, co o tej sprawie myślą, jakie jest ich własne zdanie w tej kwestji.

Artykuł p. Bagniewskiego porusza rzecz wielkiej doniosłości i nie powinien pozostać bez echa. Nietylko społeczeństwo starokrajskie nie posiada najlżejszego pojęcia o Paranie, ale i my tu sami nie znamy dokładnie i wszechstronnie swego położenia i nie możemy jeszcze ostatecznie powiedzieć, czy nam polakom w Paranie osiadłym jest dobrze, czy źle. Jedni błogosławią Paranę i za nic-by do starego kraju nie wrócili, inni zaś ją przeklinają nazywając piekłem, z którego-by zaraz uciekli, gdyby tylko mogli. Zadowoleni, którym w Paranie dobrze, siedzą cicho i wcale się nie odzywają. Niezadowoleni krzyczą gwałtu i podnoszą głośne lamenty, które aż do starego kraju dochodzą, budząc niespokój i wrogie dla Parany usposobienie.

Jest więc rzeczą konieczną zebranie rozmaitych opinji o Paranie i wyciągnięcie z nich jakichś wniosków. Tutaj tylko trzeba sobie zastrzedz, że czy kto będzie pisać o Paranie źle, czy dobrze, czy wyrazi swoje zadowolenie, czyli też niezadowolenie, nie może mówić nic gołosłownie, lecz musi powiedzieć dokładnie i szczegółowo, dla czego mu jest źle, albo dla czego mu jest dobrze, wtedy bowiem dopiero da się urobić bezstronny i prawdziwy sąd o Paranie i o bycie osadników polskich.

Najważniejszą rzeczą byłyby głosy samych kolonistów, stanowiących najliczniejszą i najpoważniejszą klasę osadników polskich w Paranie, ale głosy te jeszcze nie wystarczają. Wszak wiele o losie osadników polskich w Paranie mogą powiedzieć ks. Proboszczowie jakoteż nauczyciele ludowi i kierownicy szkół polskich, którzy się nieustannie z kolonistami stykają. A nadto posiadamy już liczną i dość zamożną klasę kupców — wendystów, jakoteż drobnych przemysłowców i przedsiębiorców, których los w Paranie dla nikogo obojętny być nie może. Należy spodziewać się, że i ci ludzie także mogliby wiele powiedzieć o Paranie i o tym, czy polakom w niej źle, czy dobrze.

Wiemy, że ludziom pracy do pióra nieprzywykłym trudno zabrać się do pisania, ale mamy nadzieję, że mimo to znajdzie się niejeden, który odpowie na wezwanie p. Bagniewskiego i napisze do „Niwy“ swoje zdanie o Paranie i o tym, czy nam w niej źle, czy dobrze.

A idzie tutaj o rzecz wielkiej wagi. W starym kraju jest sporo ludzi, którzy są wrogami Parany chociaż jej nie znają i najlżejszego nie mają o niej pojęcia, ale występują przeciwko wychodźtwu do Parany z całą zajadłością i bezwzględnością rozsiewając o tym kraju, gdzie dziesiątki tysięcy polaków żyje w dostatku i dobrobycie, same fałsze i w najwyższym stopniu bałamutne wiadomości. Obowiązkiem naszym jest zaprotestować przeciwko temu i wykazać rzeczowo to znaczy się faktami, że

Adres Redakcji i administracji:

„NIWA"

—o— rua Itarare Nr. 86. —o—
Skrzynka pocztowa 67.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 1. do 3. pop.

Prenumerata wynosi rocznie 8$000

Pojedynczy numer kosztuje 200 rs.

Prenumetę przyjmuje w Kurytybie: Marcin Szynda i S-ka, Praca Tiradentes Nr. 25. Tamże sprzedaż pojedynczych numerów.

tak nie jest. Czas już zaprawdę zabrać się do tej roboty, która powinna była być już dawno wykonana, aby wszelkim bałamuctwom o Paranie raz już położyć koniec. To też ufamy, że odpowiemy licznie na wezwanie p. Bagniewskiego, do czego Redakcja „Niwy" niniejszym uprzejmie zaprasza.

REKRUT.

Dziś otrzymał wezwanie... spodziewał się tego,
Lecz unikał tej myśli, jako ducha złego.
Jutro ma stać w szeregu obrońców caratu,
Oddany już nie swoim, nie ojcu, nie bratu,
Ale Moskwie przeklętej — dzikiemu smokowi,
Co od lat stu wydziera polskiemu ludowi
Ojczyznę, wysysając krew jego serdeczną.
Każdy carbardzo lubi młódź polską waleczną
Mikołaj przez nią zdobył góry Kaukazu,
Aleksander uwolnił słowian »po ukazu«,
A zaś »Kola Miluczka« przez góry Korei
Pognał młodzież, co w wojsku gniła bez na-[dziei
I wśród stepów Mandżurji, wśród tajgi Sybiru,
Nie oszczędzał on Polsce ni bólu, ni kiru...
Jutro ma stanąć w rzędzie... katów, co z roz-[koszą
Rozstrzeliwać umieją dzieci, ale noszą
W sercu trwogę zajęczą, gdy się zetknąć mają
Z żołnierzem-bohaterem... wtedy uciekają.
Jutro ma wzmocnić siłę, co jak groźna chmura
Zawisła ponad światem, jutro wołać... »hura«
Na cześć cara, gdy przyjdzie lustrować szeregi,
Ból chwyta go za serce... aż po same brzegi
Pełną czarę goryczy los wychylić zmusza ..
Pójść »w sołdaty«... o zgrozo - aż wzdryga [się dusza...
Opuścić dom ojcowski, rzucić siostry, braci,...
Przyjaciół, towarzyszów... iść, gdzie każą kaci,
By w kopalniach Sybiru lub w górach Uralu
Mordować na komendę, z sercem pełnym żalu
Pchać bagnet w piersi tego, co głosi ludowi
Zaranie wielkich myśli..... gdy który z nich [powie,
Umierając: »przeklęty bądź, carski siepaczu«,
On dobijać go będzie, dusząc się od płaczu...
Nienawidząc swych wrogów, nienawidząc cara,
Służyć im będzie wiernie, gdyż inaczej kara
Katorga albo stryczek...
O, czyż istnieć może
Podobne upodlenie?... Praga, Wola, Kroże...
Wspomnienia Sierakowskich, Brzosków, mnó-[stwa innych,
Okrzejów i Szulmanów... winnych i niewin-[nych
Przepalają mózg, serce, wolę zemsty męką.
O nie!... on nie zostanie prawą cara ręką...
Lepiej zginąć, niż tarzać się w takiej ohydzie...
Niech żyje wolność ludu, co w pomrukach [idzie,
Jak burza, nawalnica, by walić bałwany,
Przed któremi klękają słabi! — Uwielbiany
Proporzec się wysoko wzniesie ponad tłumy,
I lud polski z okrzykiem narodowej dumy
Potężne, święte hasła wygłosi przed światem,
Każdego, co udręczon, mieniąc druhem-bra-[tem...
»Tak mi, Boże, dopomóż«, rzekł i błyskiem [stali
Strzeliły z óczu nienawiść i wstręt do moskali...
Śmierć wyjrzała mu z twarzy... uniósł dum-[nie głowy
I wyszedł do przedsionka, gdzie czekał stój-[kowy.

Dnia... rekrut, świeżo przyjęty do pułku ... wypuszczony na czas krótki z koszar, dał kilka strzałów do przejeżdżającego J. E. P. jenerał-gubernatora, raniąc go lekko. Przestępca został natychmiast rozstrzelany.

SK.

Z ŻYCIA STOWARZYSZEŃ.

W niedzielę dnia 16. b. m. odbędzie się posiedzenie Zarządu „Związku Narodowego Pol." w prywatnym mieszkaniu sekretarza B. Prysaka, ul. Floriano Peixoto, 84, a to w celu wybrania delegatów do Komitetu Obrony Narodowej.

Należy mieć nadzieję, że wobec tak ważnej sprawy zebranie z pewnością dojdzie do skutku.

„TOWARZYSTWO ROLNICZE" W AFFONSO PENNA.

Dnia 1. stycznia 1913 roku odbyło się Walne Zebranie członków T-wa w celu uzupełnienia Zarządu.

Po przeprowadzonych wyborach obecny Zarząd składa się z następujących osób: Prezes, p. Henryk Radecki; Wiceprezes, p. Konrad Jeziorowski; Sekretarz, p. Józef Jankosz, II. Sekretarz p. Józef Szczepański; Skarbnik, p. Karol Nittka. Zastępcy: p. Jan Zielonka i i p. Ignacy Opszyński. Sąd polubowny składają: p. Władysław Szczepański i p. Marcin Grabias. Komisja rewizyjna: p. Łukasz Dorabiałło, p. Stanisław Pośniak i p. Karol Mnyczka.

Za staraniem Zarządu T-wa rząd brazylijski zniósł cło od nawozów sztucznych, importowanych z Europy, wskutek czego członkowie Towarzystwa mogą obecnie nabywać te nawozy po cenach znacznie zniżonych. Niebawem nadejdą narzędzia i maszyny rolnicze, wypożyczone bezpłatnie przez Inspektorjat Rolniczy dla użytku członków.

Sklep pod firmą Jeziorowski i Opszyński sprzedaje wszystkie towary po cenie kosztu członkom T-wa. Tenże sklep nabywać będzie od kolonistów codzień świeże mleko i inne produkty rolne.

Od dnia 1. lutego b. r. będzie jeździć do Kurytyby wóz Towarzystwa i dostarczać codziennie [około godziny 9. rano] świeże mleko, drób, jaja, miód, jarzyny, kaszę hreczanną i inne artykuły spożywcze, o czym Szanowne Gosposie kurytybskie Zarząd najuprzejmiej zawiadamia.

W sobotę dnia 18 z. m. odbyła się w wygodnej salce PP. Wł. Szczepańskich pierwsza zabawa Towarzystwa przy licznym udziale gości. Bawiono się doskonale przeplatając tańce śpiewami chóralnemi i solowemi, oraz pociesznemi monologami. Ubawieni i zadowoleni goście rozeszli się do swych domów podziwiając wspaniały wschód słońca i świeżość przyrody, pławiącej się w porannej rosie. Zabawy takie odbywać się będą co miesiąc celem uzyskania funduszu na budowę domu ludowego w Affonso Penna, oraz celem dania kolonistom taniej a bardzo miłej i kształcącej rozrywki.

Po wybudowaniu własnej i odpowiednio urządzonej sali Towarzystwo przystąpi do zorganizowania trupy wokalno-dramatycznej, oraz szkoły dla polskich dzieci

Załączając uprzejmą prośbę do Szanownej Redakcji o łaskawe wydrukowanie niniejszego listu w swym piśmie pozostajemy z poważaniem za Zarząd:

Prezes: *H. Radecki.*
Sekretarz: *Józef Jankosz,*

Affonso Penna 21./II. 1913.

Westchnienie.

Ziemio moja rodzinna, ziemio moja święta!
Gdyby do ciebie lecieć tak, jak lecą ptaki —
Hen! gdzie się Wisła srebrzy jasna, uśmiech-[nięta, —
W kraj inny niż tu — nie taki! nie taki!

Gdyby cię ujrzeć teraz, ojczysta ma chato!
Choć raz jeszcze przestąpić święcone twe progi
I łzę przelać w twych ścianach nad ciszy u-[tratą —
Że daleko od ciebie odeszły me drogi!

Usłyszeć szum twych sosen, co na piaskach drze-[mią,
Usłyszeć cudne starych lip kościelnych granie!...
Piękną jesteś, o ziemio! — utracona ziemio!
Gdy mi twój obraz w duszy zmartwychwsta-[nie —

Rwie się z mej piersi westchnienie tęsknoty,
Co, jak te mewy ścigłe ma, lot skory,
I na miesięczny szlak się wzbija złoty, —
Leci nad chaty ojczyste i bory.

— Leci nad łany zbożne, falujące,
Kędy na miedzach kwitną głogów krzaki, —
Nad sine stawy żab rechotem drżące —
W kraj inny, niż ten, — nie taki, nie taki!...

M.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Z Ziemi Chełmskiej

WRAŻENIA I NOTATKI.

(Dalszy ciąg.)

Ale tamci umierali tylko za wiarę, a ci giną i za ojczyznę...

I każdy z nich tak żył, każdy tak cierpiał i każdy tak samo walczył przez całe życie.

A przecież ten bój ciągnął się długie, długie lata i bez przerwy ni miłosierdzia.

Całe wsie poznikały z powierzchni ziemi, poginęły całe rody, całe pokolenia dawały wszystką krew i wszystek żywot, ale pozostali nie ustąpili, nie zabłagali o litość, a zapomniani, wyszydzani, biedni, pogardzani, w ponurej grozie opuszczenia walczyli dalej, bez wytchnienia, z jednakim wciąż męstwem, nieulękli jednako i jednako niezwyciężeni.

Siedziałem jakby zmartwiały; płacz sączył się z tych opowiadań, dymiły krwawe opary i cały dom zdawał się napełniać szlochaniem, gdy ktoś odezwał się głośno:

— Aby tylko nie było gorzej! Bo ciężko, strasznie ciężko...

— Przetrzymaliśmy tyle czasu, to przetrzymamy, dokąd się Panu Jezusowi spodoba.

— A może się odmieni! Powiadają, że po wojnie z Japonem nastaną lepsze czasy.

Pogadywali, snując nieśmiałe, lękliwe nadzieje. Rozmowa wkrótce przeszła na wojnę. Zaczęli się mnie rozpytywać o szczegóły tak usilnie, że musiałem opowiadać nieomal o każdej większej bitwie. Słuchali z niezmiernym skupieniem: posępne twarze zaczęły się ożywiać i promienieć uśmiechami dziwnej radości, ale w najgorętszym toku opowiadania ktoś mi przerwał:

— Ot i kara Boska na opamiętanie!

Naraz jakaś zasłuchana kobieta wybuchnęła spazmatycznym płaczem, wyznając wśród szlochań i jęków, że jej syn zginął na wojnie.

Pomilkli, zwieszając smutnie głowy, twarze pokurczyły się boleśnie, a w niejednym oku zabłysły łzy, gdyż prawie każdy miał kogoś blizkiego w szeregach walczących. Dopiero jakiś starzec z różańcem na szyi przerwał milczenie i, klękając przed obrazami, rzekł uroczyście:

— Należy się im szczery pacierz, bo nie za swoją umierają.

Przyklęknęli wszyscy i zaszemrały gorące szepty modlitwy.

A ledwie co się podnieśli z klęczek, ktoś wszedł do izby i zawołał:

— Zbierać się! Pora już w drogę!

Naciągnąłem burkę pospiesznie, gdy przystąpił do mnie ten chłop z różańcem na szyi i patrząc mi w oczy, powiedział z naciskiem:

— Pan chce z nami na misję, a tam się może zdarzyć Bóg wie co...

Obejrzałem się po izbie. Było pełno. Wpatrywali się we mnie nieprzeniknionemi oczami.

— Pojadę z wami, gotów jestem na wszystko! — powiedziałem krótko.

Nikt się już nie odezwał, ściskali mi rękę, zabierali z kąta baty i wychodzili.

Noc była na świecie, i chłodnawy wiatr pociągał z pól, gdyśmy wyjechali za stodołę, zmierzając prosto ku borom, czerniejącym na horyzoncie, niby opadła nizko chmura. Jechałem na drugiego. Przede mną, na pierwszym wozie siedziało trzech chłopów, a za nami musiał ciągnąć spory szereg wozów, bom nie mógł dojrzeć końca.

Noc była bardzo ciemna, chmury przysłaniały niebo, brał lekki przymrozek, gdyż błoto chlupało pod kołami. Jechaliśmy wolno i w głębokim milczeniu. Gdzieniegdzie, we wsiach, zatopionych w ciemnościach, przebłyskiwały światełka, czasami wiatr przynosił naszczekiwanie psów, jakieś dalekie echa turkotów, a niekiedy parskały konie. Wjechaliśmy wreszcie na szosę i, nie żałując bata, ruszyliśmy z kopyta, aby się tylko dostać do lasu, który wyrastał przed nami coraz bliżej.

Głębokie, zarośnięte krzakami rowy ciągnęły się z obu stron drogi.

Naraz w ciszy rozległ się głos rozkazujący:

— Stać!

Ktoś wyskoczył z pierwszego wozu i przypadł twarzą do drogi.

Cały szereg jakby zamarł na miejscach. Nasłuchiwałem z zapartym tchem... gdzieś, jeszcze dosyć daleko przed nami, rozlegał się ledwie dosłyszalny turkot.

— Powóz we cztery konie! Bóg wie, kto może w nim jechać! Do rowu z wozami! Niech tylko pan dziedzic zostanie i rusza wolniuśko! — padła cicha i mocna komenda.

Zatrzeszczały krzaki, chlupnęła woda, i po chwili nie było już nikogo na szosie.

Ruszyłem stępa. Turkot był coraz bliższy. Wkrótce zamigotały latarnie i było słychać uderzanie kopyt i brzęk uprzęży, a w parę minut później przesunął się koło mnie powóz, zaprzężony w cztery konie; siedziało w nim parę osób, rozmawiających po rosyjsku, ale w ciemnościach nie mogłem rozróżnić ani jednej twarzy.

— Żandarmi, panie! Wybrali się na jakieś polowanie. Nie trzeba o tym mówić, po co się mają płoszyć! — szepnął mi ten sam głos, gdy powóz już zginął w oddaleniu.

Skręciliśmy na drogę, biegnącą samym brzegiem lasu. Zapaliłem papierosa.

— Zgasić! mógłby kto zobaczyć ze szosy!

Zdążyłem tylko zobaczyć na zegarku, że było już po dziesiątej.

Jechaliśmy tym brzegiem lasu z dobrą godzinę, a ciemność, milczenie, cichy poszum drzew, monotonny skrzyp wozów i parskanie koni tak mnie usposobiły, że już na dobre zaczynałem drzemać, gdyśmy się wytoczyli na łąki, gęsto porośnięte kępami drzew i miejscami pozalewane. Otrzeźwiałem natychmiast, bo woda bluzgała z pod kół i kopyt, a spłoszone czajki zakwiliły nade mną. Potym wjechaliśmy na jakiś szeroki wygon, niezmiernie grząski, wyboisty i pełen kałuż. Potym staliśmy dosyć długo na jakichś rozstajach pod krzyżem, gdzie już czekały sznury wozów i mnóstwo ludzi, a wciąż jeszcze było słychać nadjeżdżających.

Wielki las czerniał tuż przed nami, jak mur.

Zrobiło się nieco jaśniej, zaczęły przebłyskiwać gwiazdy, a z wiatrem nadpłynęły jakby dalekie echa ligawki.

— Ruszać, a nie rozwłóczyć się! — zabrzmiała cicha komenda.

W parę minut dosięgliśmy czarnej

ściany lasu i znowu przystanęli, gdyż z pod drzew rozległ się jakiś ostry i groźny głos:

Kto jedzie?

Swoi! Swoi! — serwały się niecierpliwe wołania.

— Tu niema przejazdu: grobla rozmyta, most zabrały wody. Zawracajcie!

— Jechaliśmy z nadzieją, to może przejedziemy! — zagadał poważnie pierwszy wóz.

Tak-że mi powiadajcie! A toż i strażniki umieją krzyknąć: swoi!

— Słowo „z nadzieją" było umówionym hasłem, jak się później dowiedziałem.

Odezwał się znowu długi, przeciągły jęk ligawki, i wyjechaliśmy w las; ugięły się pod bryczką jakieś dyle, koń mój zaczął się wspinać i chrapać, ale szczęśliwie przejechałem silnie rozklekotany most i literalnie utonąłem w ciemnościach. Wyniosły, zwarty bór okrył nas jakoby czarnym płaszczem; nie było widać nawet końskiego zadu, a białe pnie brzóz majaczyły, jak przez sen. W jakimś miejscu musiałem zesiąść i prowadzić konia za uzdę, bo ślizgał się i rzucał na grobli, wyłożonej okrąglakami, które zapadały się pod kopytami, jak klawisze; grzązłem niekiedy w błocie po kolana, tłukłem się o drzewa i musiałem iść cały czas chyłkiem, aby się uchronić od smagania gałęzi. Wreszcie wywlekliśmy się na suchsze miejsce. Poczułem twardy grunt pod nogami, a nad głową zobaczyłem gwiazdy i czuby drzew, rozstrzępione w czarne pióropusze.

— Wstrzymać konie i nie ruszać się z miejsca! Musimy przepuścić pieszych — rozkazano.

Przystanąłem, i wkrótce podniosły się dokoła mnie szepty i ostróżne, miarowe stąpania. W ciemnościach, jakie zalegały, zaledwie mogłem dojrzeć słabe i niewyraźne zarysy jakichś cieniów, ale długo słyszałem trzaski gałązek pod nogami i głuche dudnienie kroków tych tysięcy, przechodzących nieskończoną procesyą, że z wolna bór napełnił się cichym, rozedrganym pogwarem, jakby bełkotem wód, napływających wzburzonemi falami, aż zestrachane konie zaczęły tu i owdzie szarpać uprzęże i tłuc się o wozy; a oni wciąż szli a szli; szmer wzmagał się chwilami, to przycichał i oddalał się, spływając bezustannie w jednym kierunku, gdzieś w głąb lasów...

Nie wiem, jak długo to trwało, ale w końcu już mi się zaczęło wydawać, że cały bór się chwieje, porusza i płynie wraz z tą niedojrzaną, potężną falą...

Niedaleko ode mnie rozbłysło nagle ognisko i, wciąż podsycane gałęziami, wybuchało coraz potężniejszemi słupami płomieni. Setki ludzi kręciły się w krwawych brzaskach. Poszedłem się ogrzać, bo zimno było przejmujące; ktoś mi ustąpił miejsca i rzekł bardzo przyjaźnie:

— Niech się pan dobrze ugrzeje, bo do rana jeszcze daleko.

Przypiekałem się też z prawdziwą przyjemnością: ogień huczał wesoło, niekiedy sypnął deszczem iskier, niekiedy z trzaskiem rwał się w górę i buchał płomienistą, rozwichrzoną grzywą aż od czubów drzew, a dokoła ciżbiły się rdzawe pnie sosen twardą i nieprzejrzaną gęstwą, wśród której mrowili się ludzie, szeregi wozów i koni.

Obok mnie rozmawiano półgłosem.

— Nie zdążą prędzej niźli na świtanie.

Byle ich w drodze nie spotkało co złego.

— Na uroczysku, tam sucho i dostęp tylko z jednej strony. Strażniki nie trafią!

— A niech tropią: bagno głębokie... nie wyda.

— Trzeba się nam będzie niezadługo zabierać, kobiety już musiały dojść.

Umilkli nagle, gdyż zjawił się jakiś chłop i zaczął krzyczeć:

— Zgasić ogień, a toć łunę widać aż na polach!

W mgnieniu oka zawalono ziemią ognisko i zadeptano, a po chwili ruszyliśmy w jakimś znowu niewiadomym dla mnie kierunku.

— Czy to jeszcze daleko? — spytałem jakichś cieni, przechodzących obok bryczki.

— Nie bardzo, za jakie dwa pacierze staniemy na miejscu.

Nie mogłem już dojrzeć gwiazd. Nad głowami tylko szumiały cicho drzewa, i w leśnych mrokach rozlegały się przytłumione rozmowy i ciężkie odgłosy kroków. Jechaliśmy gęsiego i noga za nogą przez takie błota, topiele i trzęsawiska, że zaledwie w godzinę zdołaliśmy się przedostać na jakieś niewielkie wzgórze, dosyć rzadko porośnięte rozłorzystemi drzewami, a otoczone nieprzebytym bagnem i wodami.

— Chwała Bogu, jesteśmy już na miejscu! — zawołał ktoś z radością.

Na wzgórzu płonęło kilkadziesiąt bujnych ognisk i wrzało, jak w ulu, a gdzieś w samym środku obozowiska chwiały się zapalone łuczywa i trzaskały siekiery.

— Stawiają ołtarz i co potrzeba — objaśnili mnie.

— A czy księża już są?

— Dopiero nade dniem przyjadą.

Dałem koniowi obroku i poszedłem między ludzi.

Dochodziła już trzecia i do świtu było jeszcze daleko, a że przytym zimno przejmowało mnie coraz dokuczliwiej, więc dosyć długo włóczyłem się między gromadami, porozkładanemi dokoła ognisk, aż, spotkawszy znajomych chłopów, przysiadłem się do nich na gawędę i dopiero się dowiedziałem, że jesteśmy w Kolembrodzkich lasach, które znałem tylko ze słyszenia.

— Sporo ludzi się zebrało! — zauważyłem, gdy rozmowa osłabła i zaczynali drzemać.

— Powinno być przeszło pięć tysięcy. A przytym szli sami wybrani, sami najbardziej potrzebujący księdza i nabożeństwa.

— A nie wytropią nas tutaj?

— Straże pilnują po wsiach najbliższych, po drogach i pod lasem, a reszta w Boskim ręku. Nikt się tu nie dostanie, ani stąd nie wyjdzie bez pozwoleństwa! Droga przekopana i mosty pozdejmowane.

— A jakże dostaną się księża?

— Przez mokradła, ale takim przejściem, o którym tylko wie stary Lewczuk Gęsi. On też po nich pojechał i przeprowadzi.

Rozmowa jednak rwała się coraz bardziej, gdyż moi sąsiedzi, poukładawszy się pokotem przy ognisku, zasypiali jeden po drugim, aż w końcu i ja okręciłem się szczelniej w burkę, przywarłem do najbliższych pleców i natychmiast zasnąłem.

Obudziły mnie pierwsze świtania przeciągły krzyk jakichś ptaków, ciągnących długim sznurem nad lasami. Na szarym tle nieba czerniały niewyraźną masą wierzchoły drzew, a ziemię zasypywał sinawy brzask świtów. Było niezmiernie cicho, tak cicho, że słyszałem opadanie rosy i miarowe, niezliczone oddechy śpiących.

Poszedłem zajrzeć do mojego konia; całe obozowisko było jakby wymarłe, ludzie leżeli, pogrążeni w głębokim śnie, tylko chrapania rozlegały się tu i owdzie, a z przygasłych ognisk snuły się wiotkie pasma dymów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Na Bałkanach znów nastąpił pewien zastój w przebiegu wydarzeń politycznych. Turcy wysyłają nowych przedstawicieli w celu traktowania z wielkiemi mocarstwami Europy, aby pośredniczyły pomiędzy Turcją i państwami bałkańskiemi oraz ażeby nie dopuściły do rozbioru Turcji.

Bułgarzy ociągają się w swych działaniach wojennych, mając na tyłach zmobilizowane siły Rumunji, która pożąda części ziemi bułgarskiej z twierdzą Silistrją.

Żądanie to odrzuca Bułgarja, powiadając, że byłoby największą niewdzięcznością ustępować sąsiedniemu państwu część kraju, którego mieszkańcy w obecnej wojnie wykazali dużo poświęcenia i patrjotyzmu. Pułk rekrutowany z okolic Sylistrji poniósł olbrzymie straty i odznaczył się w kilku bitwach.

Czarnogórcy mają wciąż nieznaczne utarczki z turkami pod Skutari, Serbowie zaś zmuszeni są walczyć tu i ówdzie z powstańczemi oddziałami albańskiemi.

Grecja w dalszym ciągu obejmuje w posiadanie wyspy morza Egejskiego, wypierając z nich turków.

W sprawie albańskiej Rosja porobiła duże ustępstwa Austrji, opuszczając serbów, którzy coraz jaśniej widzą, że sympatje rządu rosyjskiego nie mają na celu dobra interesów Serbji, lecz jedynie chęć podjudzania serbów przeciw Austrji, aby przy tym ogniu piec swoją pieczeń. Zarówno prasa jak i pojedyńczy wybitni politycy serbscy coraz częściej wygłaszają swoje sympatje dla Polski, do czego powód dały ofiary na rannych południowych słowian, zebrane w Poznańskim.

W Pradze Czeskiej odbyło się zgromadzenie publiczne w celu zaprotestowania przeciw wywłaszczeniu polaków w zaborze pruskim. Miało przebieg imponujący. Burzliwie oklaskiwano posła polskiego Wł. Tetmajera, który karcąc ostrym słowem postępowanie Prus, gorąco się zwrócił także przeciw uciskowi ze strony moskiewskiej. Przyjęta została jednomyślna rezolucja protestująca przeciw polityce antypolskiej zarówno w Prusach jak i w Rosji.

Trochę dysonansu wniósł młodoczeski poseł Kramarz, który potępiając Prusy, apelował do polaków, aby zrozumieli wielką wartość idei słowiańskiej w tych okolicznościach i żeby zwrócili się przyjaźnie ku Rosji, nawet gdyby ta nie kierowała się wobec nich sprawiedliwością.

Dziwnie zaślepieni są czesi w swym przejęciu się ideą słowiańską. Obawa przed siłą zaborczą niemców robi ich gorliwemi propagatorami przewodnictwa (hegemonji) moskiewskiej w świecie słowiańskim. Nic dla nich nie znaczy stuletnie uciemiężenie Polski, niczym jest rabowanie praw politycznych Finlandji, niczym ucisk łotyszów, litwinów, rusinów, gruzinów, ormian i wielu innych ludów, których nieszczesny los oddał w ręce Moskwy.

Ani przepełnione więzienia, ani skrzypienie szubienic, na których zawiśli najtęższi synowie samej Rosji, ani jęki ludu rosyjskiego, gnijącego w kajdanach, narzuconych przez carską biurokrację... nie zdolne są im otworzyć oczu, które zamyka ciasny egoizm narodowy i strach przed najbliższym wrogiem, skłaniając do kokietowania Rosji.

Poseł Kramarz, jeden z najwytrwalszych wojowników o prawa historyczne korony czeskiej, najwybitniejszy polityk czeski, wyrażając niejednokrotnie sympatje dla Polski, składa wieniec od narodu czeskiego na trumnie cara Aleksandra trzeciego, najtępszego i największego wstecznika i tyrana, wkrótce po wygłoszeniu bardzo austrjackiej mowy w delegacjach austrjackich, zachęca polaków do oddania się największemu wrogowi Austrji. *Ks.*

LISTY DO REDAKCJI.

Do Szanownej Redakcji „Niwy".

Szanowna Redakcjo! W Nr. 4. „Niwy" pod adresem „Tow. Szkoły Ludowej w Br." wydrukowano list p. Pankiewicza, opatrzony komentarzami Szanownej Redakcji, na który prosimy uprzejmie pozwolić nam odpowiedzieć, jak następuje.

Uznając w zasadzie, że nadesłane nam w odpowiedzi na umieszczoną w tutejszych pismach polskich odezwę naszą z dn. 23 października 1912 r. sprawozdania 6 szkół polskich w Paranie nie mogą służyć za dostateczny materjał do uskutecznienia w pełni zadania w niej wyrażonego, przyznajemy, że przez pośpiech i niedopatrzenie w sprawozdaniu kierownika szkoły naszej w Kurytybie wkradł się błąd w tytule działu, w którym znajduje się wykaz nadesłanych nam sprawozdań, a mianowicie zamiast:

„Wykaz czynnych szkół polskich w Brazylji 1912", powinno być: „Wykaz czynnych szkół polskich w Brazylji z 1912 r., które na naszą odezwę nadesłały sprawozdania".

Tego rodzaju sprostowanie zamierzaliśmy umieścić w sprawozdaniu Zarządu Tow. Szk. Lud. w Brazylji za rok ubiegły. Rzeczona korespondencja w „Niwie" zmusza nas do natychmiastowej odpowiedzi.

Nie możemy jednak na tym miejscu powstrzymać się od ubolewania, że taka konieczna i pożyteczna praca, jaką jest opracowanie wiadomości o szkolnictwie polskim w Brazylji, a w szczególności w Paranie, musi być na razie odłożona, wobec niepodobieństwa otrzymania potrzebnego materjału.

Z szacunkiem

Zarząd T. S. L. w Braz.

Kurytyba, 29 stycznia 1913.

PRZYPISEK REDAKCJI.

I my ze swej strony podzielamy w zupełności ubolewanie Zarządu »Tow. Szkoły Ludowej w Brazylji«, wydanie bowiem kompletnego wykazu wszystkich bez wyjątku szkół polskich w Paranie istniejących byłoby rzeczą bardzo pożądaną i pożyteczną. Czy atoli faktycznie otrzymanie potrzebnego w tym celu materjału jest niepodobieństwem? Ruch na polu oświatowym wzmaga się wśród polaków parańskich dość znacznie, zainteresowanie szkołami wzrasta, może więc da się ostatecznie przy dobrych chęciach i wytrwałości zrobić coś pożytecznego w tym kierunku

Wspaniała babka dziewiczy wieczór

czyli pp. Butwiłowicz i Hoffman piszą.

Wobec ważnych spraw, poruszonych ostatnio na łamach „Niwy", większość czytelników naszych miała czas zapomnieć o tym, co było wydrukowane w Nr. 8. z roku zeszłego, nikt się bowiem treści pisma tygodniowego na pamięć nie uczy. Tymczasem pp. Butwiłowicz i Hoffman przypomnieli sobie nagle potrzebę odpowiedzenia na coś tam, co pomieściliśmy w listopadzie ubiegłego roku, a to mianowicie w Nr. 6. „Polaka" z d. 8 b. m. Długo się namyślali, i napisali wiele, ale wszystko to baczniejszej uwagi nie warte. Godnym zastanowienia jest tylko fakt, że pierwsze publiczne wystąpienie w sprawie rioskiego „Tow. Samopomocy i Oświa-

ty", komieszczone w Nr. 41 „Polaka", było podpisane przez cztery nazwiska (St. Paliński, Fr. Butwiłowicz, Zofja i Jan Hoffmanowie), gdy tymczasem ostatni wylew szlachetnego oburzenia obywatelskiego posiada już tylko dwa podpisy. Jeżeli w kilka miesięcy odezwie się znowu głos w tej samej sprawie i z tego samego źródła to zapewne i te dwa drugie podpisy znikną, artykuł zaś zostanie podpisany zerem, co odpowie najściślej samej-że treści korespondencji. Że zaś szanujący siebie ludzie z zerami polemizować nie lubią, przeto zamykamy na tym swą miłą pogawędkę z pp. Butwiłowiczem i Hoffmanem oświadczając, że więcej na wystąpienia z ich strony odpowiadać nie będziemy.

Odpowiedzi od Redakcji.

P. Stefanowi Benradtowi, Rio das Antas. — Posyłając swe wypracowanie polemiczne z racji artykułu p. Bagniewskiego popełnił pan podwójną pomyłkę. Przedewszystkim p Bagniewski wzywał do wymiany zdań, a Pan wypisał szereg obelg w miejsce argumentów rzeczowych. Po drugie zaś mylnie skierował Pan swój elaborat pod adresem »Niwy«, której poziom kulturalny nie dopuszcza na swych łamach takiego rodzaju polemiki.

Niżej podpisany poszukuje Bronisława Wierzbickiego w celu doręczenia mu pieniędzy nadesłanych od rodziny. Koniecznym jest, ażeby poszukiwany zgłosił się listownie wskazując zarazem miejsce, gdzie chciałby odbierać miesięcznie pieniądze.

Roman Paul.

RODACY!

Czytajcie i rozpowszechniajcie „Niwę".

HASŁA „NIWY“.

Kupą, bracie dąż do celu
W zgodzie i miłości!
Sam nie zdziałasz, zdziała wielu
Dla dobra ludzkości.

Dał nam los pochodnię w ręce,
Co się polską duszą zwie,
Czy w weselu, czy też w męce,
Światło nam ożywcze śle.
Dbajmy by nie zgasła,
To są „Niwy“ hasła.